



placu boju pozostałem sam, chwilo-
wo zniechęcony tym, że „Czytelnik”
— może i słusznie, w końcu znam
swoje nieodpowiedzialności — nie
chciał ze mną podpisać umowy wy-
dawniczej. Zdążyłem jeszcze zmie-
ścić drugi rozdział proponowanej
monografii w swojej książeczce „Le-
gendy nie umierają” i na razie spa-
sowałem, innym zajęciom oddany.

Jednak na dźwięk nazwiska „Fitz-
gerald” zawsze się ozywiam. I gdy
wyczytałem w gazecie, iż Piotr Cieślak
wystawił w Teatrze na Woll

fobie czy upodobania, ale dlatego,
żeby pobudzić kogoś do refleksji na
temat, jaką rolę odgrywa teatr
w ogóle w środowisku — w końcu
— kulturalnym. Jest to rola niewiel-
ka. Teatr dawno przestał być czyn-
nikiem „kulturotwórczym” i inspi-
rującym żywe myślenie. Mówię o pol-
skim teatrze w całości, nie o po-
szczególnych, niekiedy fascynują-
cych przedstawieniach. W mojej ge-
neracji, młodych jeszcze do niedaw-
na pisarzy, do teatru się nie cho-
dziło. Odstępowała nas martwość tej

nych i w istocie miał rację. Autor
był jednak jeszcze w wieku, kiedy
nie można — pod obawą popełnienia
kardynalnej i krzywdzącej omyłki —
odsądzać kogoś od talentu, toteż
krytycy ówczesni w gruncie rzeczy
okazali sztuce więcej względów niż
czytelnicy lat późniejszych. (Prawdę
mówiąc zresztą, potem poszła w za-
pomnienie). 27-letniemu autorowi
wybacza się wiele, zwłaszcza, że
w dwa lata później wyda on arcy-
dzieło.

Minęło jednak ponad pół wieku,
gdy niespodziewanie po nią sięgnię-
to. Trzeba wiedzieć jaki był powód:
afery Watergate. Rzecz ukazująca
w farsowy sposób „prezydencki sen”
przeciętnego Amerykanina, nabrała
nowych znaczeń aktualnych. Poczęła
korespondować ze współczesnością.
Zaczęto odczytywać ją na nowo,
wprowadzając — jak to się dzieje
zawsze w takich przypadkach —
swoistą „nadwyżkę” pożądaną
przez publiczność, treści. Związa-
nych oczywiście z kwestią sprawo-
wania urzędu prezydenckiego oraz
z jego obrazem w mentalności prze-
ciętnego Amerykanina.

Nie minęło dziesięć lat i te treści
znów wyparowały. Afera Watergate
stała się historycznym wspomnie-
niem. Mięczakowały Jerry ze sztuki
Fitzgeralda, który od biedry mógł
jeszcze przypominać Cartera, obe-
nie z nikim się nie kojarzy. Po-
została farsa, miejscami cięta i za-
bawna, miejscami pusta. Znalezi-
sko, którego przesłanie nie wymuje się
z niczym.

Gdybym nie fascynował się posta-
cią i twórczością Fitzgeralda, napi-
sałbym: po co nam to było? Ale po-
nieważ interesuje mnie każdy prze-
jaw życia tej twórczości, więc gdy
spotkam Piotra Cieślaka, powiem
mu: dobrze się stało! Ani przez
chwilę jednak nie pomyślę, że je-
stem widzem typowym.

KRZYSZTOF MĘTRAK

Przygoda z Fitzgeraldem

Znałem tę sztukę, kiedy jeszcze
mało kto ją u nas znał. Wymądrza-
łem się na jej temat dziewięć lat
temu w „Dialogu”, gdy była po raz
pierwszy w Polsce drukowana pod
tytułem „Ciepłe kluski”, którym tłu-
maczka Małgorzata Semil zastąpiła
rzeczywiście niefortunny, oryginalny
tytuł: „Jarzyna albo od prezydenta
do listonosza”. Wraz z nieżyjącym
już Michałem Sprusińskim, fascyno-
waliśmy się wtedy twórczością
Francisa Scotta Fitzgeralda. Wkrót-
ce dołączył do nas Michał Roniker
i wszyscy trzej mieliśmy zamiar na-
pisać książki o tej niesłychanie
bujnej postaci amerykańskiej litera-
tury, tak charakterystycznej dla
„epoki jazzu”. Przystąpiłem do tej
śdrowej rywalizacji: tekst drukowa-
ny w „Dialogu” miał być rozdziałem
poświęconym próbom dramaturgicz-
nym autora „Wielkiego Gatsby’ego”.
Dwaj Michałowie tymczasem, pod-
czas swych amerykańskich wojaży,
zbierały dokumentację. Lecz kilka
lat minęło i nasze niezależne od sie-
bie plany, runęły na skutek okolicz-
ności. Jednego Michała już nie ma,
drugi tymczasem jest w Anglii, na

jego sztukę, pomknąłem bezzwłocz-
nie na Kasprzaka. „Wielki Jerry”
— to już kolejny polski tytuł tej
nieszczęśliwej „Jarzyny” (rozumiam,
że wymyślony przez analogię do
„Wielkiego Gatsby’ego”). Może na-
wet lepszy niż poprzedni, ja jednak
bym prosił, żeby mnie nie mylić. Bo
jadąc autobusem „105” z Piasek na
Wolę („ja mam Ochotę na Wolę,
a nie Wolę na Ochotę” — jak ma-
rzył pewien warszawski taksów-
karz), nie wiedziałem co mnie czeka
i po co jadę.

Ocenę przedstawienia pozostawiam
osobom bardziej kompetentnym, nie
moja to broszka — jakby powiedział
Himilich, Fachowe recenzje teat-
ralne nudzą mnie śmiertelnie,
zwłaszcza od czasu, kiedy przestali
pisać Puzyna i Flaszyn. Teatr w
ogóle — w swej masie cosezonowych
przedstawień — mało mnie podnieca
i wstępuję do tego przybytku raczej
tylko wtedy, gdy mnie zaciągną lub
gdy ma coś z tym wspólnego któryś
z moich przyjaciół, albo wreszcie
— snobizm! snobizm! — gdy fama
każe być au courant. Spowiadam się
teraz nie dlatego, by ujawniać swoje

instytucji. Do dziś zadziwiam nie-
których ludzi, gdy mówię, iż wolę
przeczytać dramat niż obejrzeć jego
sceniczną wersję, nawet najdoskonalszą.
Przyczyniło się do tego pewnie
i to, że na lata teatralnej edukacji
mojej generacji przypadł okres
wzmoczonych „popisów inscenizacyj-
nych” reżyserów i pod-reżyserów,
dla których tekst pisarza stawał się
tylko partyturą. Nie widzieliśmy
więcej większych intelektualnych po-
żytków z oglądania scen-rucho-
mych obrazów, przedstawień-happe-
ningów i odczytywania nastroszo-
nych teatralnych idejek. Nie nabra-
łem więc nawyku łażenia do teatru
i całkiem mi z tym dobrze.

Ale Fitzgerald mnie zelektryzował.
I obejrzałem przedstawienie jak Pan
Bóg przykazał, trochę zabawne, tro-
chę nijakie, takie sobie. Nie mogło
być inne. Licząca już 62 lata sztuka
Fitzgeralda do arcydzieł nie należy
i nigdy nie należała. Kiedy została
wystawiona po raz pierwszy w At-
lantie City, padła po tygodniu. Kry-
tyk John Farrer napisał wtedy,
a był to sąd obiegowy, iż rzecz jest
pełna wątpliwych walorów teatral-